

KRYSTYNA DYBCZYŃSKA

Krystyna Dybczyńska

Jak uczyłam się podczas okupacji

Jak dziwnie brzmią dziś słowa „okupacja niemiecka”. Przecież te czasy tak bliskie, tak straszne są już poza nami. I już nie wrócą, już nie będzie nigdy tych okropnych łapanek, masowych egzekucji i świszczącego bata niemieckiego. Takie czasy nadejść już nie mogą. To przeszłość już, to echo wspomnień bolesnych i okropnych, to jakiś sen koszmarny, to noc ludzkości... Czasy okupacji są dla mnie już tylko długą smugą wspomnień. Życie ówczesne nawet wobec oblicza wojny nie straciło swego uroku. Obok smutków bywały chwile radosne, wesołe. Weźmy tylko wspomnienia łączące mnie z nauką.

Uczyłam się prywatnie, jak większa zresztą część młodzieży, w domu. Oprócz mnie, najmłodszej latorośli w rodzinie, uczyła się siostra i brat. Pierwszym niezapomnianym pedagogiem, który zawitał do sławetnego „kurnika” (tak to złośliwi nazywają Żyrzyn), był pracownik w brylach na zadartym nosie i z paroma włosami na głowie posiadającej kształt zbliżony do elipsy. Tego wyrażenia brakowało w naszym słownictwie, dlatego nazwaliśmy go „jajko”. Dziś, gdy spojrzę wstecz te parę lat i ujrzę mego nauczyciela rzucającego ziarna wiedzy w twardy, kamienisty grunt, jaki stanowiły nasze umysły, naprawdę bardzo serdecznie mu współczuję. Nigdy, o nigdy nie chciałbym znaleźć się w jego skórze.

Byłam wtedy jeszcze w szkole powszechnej, gdy przybył do nas pan W., owo tzw. jajko. Miał on cały dzień boży zajęty z siostrą i bratem oraz jeszcze dwojgiem rodzeństwa. Lekcje historii i geografii miewałam wieczorem, po kolacji. Największą uciechą było „kiwnięcie belfra” i umiejętnie wymiganie się od lekcji.

Pamiętam jedną z tych lekcji, na której to tłumaczono mi pojęcie długości i szerokości geograficznej. Widzę ten wieczór jak dziś. Siedzimy przy stole, na którym stoi mała lampka naftowa. Oczy moje zamykają się i starannie ukrywam ziewanie. Z miną najobojętniejszą w świecie liczę muchy w pokoju lub uwieczniam swój talent rzeźbiarski, ryjąc w stole twardym ołówkiem płaskorzeźby. Długo tłumaczył mi nauczyciel lekcję, wreszcie pojęłam jej sens, lecz

naprawdę do dziś dnia jeszcze nie mogę zrozumieć, co robiła na stole szklanka czystej wody, na którą się co chwila powoływał pan W., tłumacząc mi budowę siatki kwadratowej.

Gdy zaś skończył pan W. nasz przewidziany materiał, to znaczy mnie przygotował do egzaminu wstępnego, siostrę doprowadził do bram klasy drugiej, a brata do trzeciej, opuścił on nasz dom raz na zawsze. „Nie – mówi – darujcie, ale ja z wami dłużej wytrzymać nie mogę”.

My zaś nie ukrywaliśmy radości i odetchnęliśmy swobodnej, gdy drzwi się za nim zamknęły.

Dziś dopiero widzę, jak byliśmy niesprawiedliwi, ale wówczas myślało się o tym, byle pozbyć się tego piekielnie nudnego prawnika. Lecz sąd ten, wydany w pierwszej chwili, gdy brzemie obowiązków spadało nam z głów, był bezmyślny. Z pewnością każdy z nas myślał z obawą o tym, że tak trudno jest znaleźć kogoś, kto podjąłby się tej mozolnej pracy i przyjechał na wieś na wpół odciętą od świata. Gdy nauczyciel był w domu, podręczniki mieliśmy własne – nie można było narzekać. I tak wiele, wiele młodzieży z pewnością nie miała i tego, co my. Ileż to osób uczyło się po nocach, pracując we dnie na swoje utrzymanie, a nieraz i całej rodziny.

Ze strony Niemców w sprawach nauki nie mieliśmy specjalnych nieprzyjemności. Na ogół Niemcy na wsi, a szczególnie w Żyrzynie, nie prześladowali szkolnictwa tak jak gdzie indziej. Prości żołnierze wiedzieli o tym, że się uczymy, lecz również nie zwracali na to uwagi.

Przyszedł egzamin. Był to pierwszy egzamin w moim życiu. Od rana wszyscy byli podnieceni, czekaliśmy na komisję, która miała przybyć z Puław. I przyjechał pan B. i ksiądz B. Co za straszne osoby, zięjące powagą i obawą dwóji. Nie była to ta dzisiejsza szara dwójeczka, o nie! Zasiadamy przy stołach. Miny poważne, zęby szczekają ze strachu. Po upływie pół godziny byłam wolna i oto znalazłam się w pierwszej klasie gimnazjalnej. Awans niebywały. Lecz nie o tym trzeba było myśleć. Oto do Żyrzyna przyjechało kilkadziesiąt ciężarówek SS. Stałam na moście i patrzyłam, czy nie idą w naszym kierunku. Na szczęście nikt nie przyszedł. Egzamin wypadł nadzwyczaj pomyślnie. Może też dlatego stracił coś ze swego majestatu i powagi i stał się naszą zwykłą niemal codziennością.

Później wyjechałam do Warszawy. Chodziłam do pierwszej [klasy] gimnazjalnej, która ukrywała się pod płaszczykiem [klasy] siódmej powszechniaka. Tu po raz pierwszy zetknęłam się z prawdziwym tajnym gimnazjum, a nie z „bujdą prowincjonalną”, jak nazywano tu pogardliwie naukę na wsi.

Otoczyły mnie poważne, ciemne mury, rój nauczycielek oraz przygniatał ciężar stopni.

Pamiętam jedną z lekcji matematycznych, podczas której przyszedł wizytator niemiecki. Gdy wszedł, w klasie zaległa grobowa cisza. Wizytator zaś wraz ze swoim towarzyszem przeglądał nasze teczki, rzucając najbardziej niespodziewane pytania. Klasa milczała. Profesorka stała blada przy katedrze, a gdy wyszli, pierwsza opamiętała się, mówiąc: „A więc mając kapitał, możemy obliczyć...” – kończyła rozpoczęte zadanie, pokazując równocześnie na migi, że w każdej chwili mogą oni wejść z powrotem, a trzeba zachować się bez zarzutu. Takie wypadki zdarzały się dość często.

Teraz zaś moja kochana pierwsza „buda” leży w gruzach. Niezapomniana nigdy szkoła [im. Leonii] Rudzkiej żyje zawsze w mojej pamięci.

Nauka w szkołach warszawskich, jak i w każdym innych, była bardzo utrudniona. Wyższe klasy kryły się pod nazwami szkół hotelarskich, gospodarczych, handlowych. Niemcy węszyli i szpiegowali oraz wszelkimi siłami starali się chwycić wątek wiadomości, lecz na próżno. Roczny pobyt w Warszawie pozwolił poznać warunki nauki w mieście. Prześladowania były na każdym kroku. W tramwaju czy też na ulicy, w bramie szkolnej czy na korytarzu spotykało się Gestapo przeglądające teczki, książki i zeszyty. Zdarzały się również nagłe rewizje u niektórych uczennic. To nie co w naszym spokojnym i cichym Żyrzynie. Pomimo tego względnego spokoju wiejskiego nikt nie chciał jechać na odległą od stolicy prowincję.

Bywały wypadki, że jadący do nas nauczyciel został aresztowany na peronie lub w pociągu. Kilkumiesięczne przerwy dawały nam dopiero odczuć i poznać, czym jest dla nas nauka. Te puste długie dni, pełne okropnych wiadomości o prześladowaniach niemieckich, budziły gorące oczekiwania końca wojny, marzenia o prawdziwym gimnazjum, o unormowaniu wszelkich stosunków dyplomatycznych.

Nadchodził wreszcie ten dzień, w którym to otrzymywaliśmy depeszę zawiadamiającą o przyjeździe profesora. Przyjezdny był to starszy człowiek, profesor uniwersytecki. Ten jednakże długo nie pobyt w Żyrzynie. Czemu wyjechał, nie pamiętam, zdaje się, że nie mógł podołać ogromowi pracy.

Teraz przed moimi oczyma przesuwają się cała galeria profesorów, jakkolwiek na ten tytuł nie wszyscy zasługiwali. Byli nawet tacy, którzy nie mieli zielonego pojęcia o nauce, a podejmowali

się nieznanej sobie pracy. Pamiętam jednego z nich, który był naprawdę dziwnym typem. Do dziś dnia nie wiemy, kim on był. Zrobił na nas wrażenie księdza. Dlaczego – to trudno powiedzieć. Miał coś w sobie księżowskiego: ruchy, sposób mówienia. Pierwszym jego krokiem na polu nauczania nas był egzamin, który wypadł fatalnie. Pan D. określił, że jesteśmy przygotowani pod zdechłym Azorkiem. Nie mieszkał on również u nas długo.

Najlepszym zaś moim nauczycielem był profesor z krakowskiego gimnazjum, pan S. Był on matematykiem posiadającym anielską cierpliwość i cały, niewyczerpany wprost, wór wiedzy. Był on jedynym chyba pedagogiem z owych czasów, który nie otrzymał żadnego przezwiska i którego zawsze mile wspominamy.

Przyszedeł znów okres egzaminów. Teraz zdawaliśmy je w Puławach. Pamiętam mały, wąski pokój na poddaszu, do którego wchodziło się po stromych schodach, długi stół i nas wszystkich bladych z wrażenia i obawy. Tu panowała inna atmosfera niż na wsi. Więcej obawiano się Niemców, którzy zabraniali się uczyć.

Niezmiennie długa wstęga wspomnień przesuwają się jak taśma filmowa przed oczyma. Jedne obrazy są jaskrawe, inne zaś na wpół zatarte, niewyraźne.

Oto w tej chwili widzę starego Ukraińca z długą siwą brodą, który był na usługach niemieckich, gdy stał pod oknem naszego mieszkania, słuchając lekcji. Okno było otwarte, mapa na ścianie i zrozumiał stary dziad, że się uczymy. Straszyl nas ciągle tym, że zawiadomi władze niemieckie, że nigdzie nie jesteśmy zatrudnieni. Kłuło go to, że chodzimy z książką w ręku.

Lecz oto inny obraz. To wykład profesora K., który przed wojną posiadał katedrę uniwersytecką.

Wszystkie owe wrażenia zaciera jednak pierwszy dzień nauki w naszym prawdziwym, jawnym gimnazjum. Niemcy ulegli przemocy, runęła ich potęga.

Żyjmy przyszłością, lecz nie zapominajmy także o krwawej przeszłości, która pokazała w chwilach ciężkich, czym jest nauka dla nas, uczącej się młodzieży.

Czerpiemy więc jak najwięcej wiedzy, mając ku temu warunki i dobre chęci, ażebyśmy w najbliższej przyszłości przynieśli pożytek wiecznie uciskanej i gnębionej Ojczyźnie!